

ROZDZIAŁ 7

Dżem „List do M.”

*Samotność to taka straszna trwoga,
Ogarnia mnie, przenika mnie.
Wiesz, mamó, wyobraziłem sobie, że...
Że nie ma Boga, nie ma, nie! Nie ma Boga, nie*.*

* Dżem, album „Detox”, 1991 r.

Karolina siedziała w pokoju dochodzeniówki i po raz setny czytała raporty z oględzin ofiar Midasa. Minęła dwudziesta pierwsza, w wydziale nie było już praktycznie nikogo. Nie miała do czego wracać, a w weekend szła na ślub przyjaciółki i z tego tytułu odczuwała lekkie wyrzuty sumienia. Poza tym wciąż szukała jakiejś wskazówki, która naprowadziłaby ją na trop tego człowieka-ducha. Niemożliwe, żeby był aż tak doskonały, żeby nie zostawił najmniejszego śladu, świadka, czegokolwiek.

Cały czas badali sprawę ostatniej z ofiar – Sz wajki. Dlaczego facet, jadąc do swojej firmy, zjechał nagle na mało uczęszczany parking koło działek? Przecież nie było mu tam po drodze. Kiedy zjeżdża się na takie parkingi? Robiąc jakieś lewe interesy? Pewnie tak. Ale co można robić w samochodzie na odludziu?

Karolina sięgnęła po komórkę. Andrzej odebrał po drugim sygnale.

- Jak coś, to piję wódkę – wychrypiał.
- Ale jeszcze kontaktujesz?
- Jasne.
- Słuchaj, on umówił się tam na bara-bara albo lodzika. – Karolina energicznie przekładała papiery.

– Twoje słownictwo mnie zadziwia, szefowo. Mówisz o Szwajce?

– No, a o kim? – Linde była zniecierpliwiona.

– Nie wiem, ale dobra, to może być jakiś trop.

– Trzeba popytać naszych chłopców-alfonsów. Gorzej, jak to jakaś samowolka.

– Albo dorabiająca studentka.

– Albo kochanka. No nic, trzeba mocniej prześwietlić gościa.

– Zajmę się tym jutro. A ty jeszcze w firmie siedzisz? – Andrzej ściszył głos.

– Już wychodzę. Przeglądałam ponownie wszystkie papiery. W weekend jestem zajęta, jak coś.

– Wiem, spoko, ja popracuję w sobotę, nic się nie martw, Karola.

– Dzięki, Andrzej. Do jutra. Tylko nie miej kaca! – dodała i uśmiechnęła się do siebie.

– Postaram się.

Gdy dotarła do domu na wrocławskim Kozanowie, było przed dwudziestą trzecią. Marzyła o kąpieli, lampce wina, albo i dwóch, no, może trzech, i ciepłej kołdrze. Tymczasem przed blokiem zobaczyła wysoką postać.

– Co ty tu robisz? – Drgnęła, gdy dostrzegła Rafała.

– Czekałem na ciebie. Wyrwałem się z domu.

– Niepotrzebnie. – Ruszyła w stronę bramy.

– Hej, poczekaj! – Rafał złapał ją za rękę. – Zrobiłem coś nie tak?

Karolina wiedziała, że gdy ulegnie, gdy ponownie da się złamać, nie uwolni się z tego nigdy. Nigdy. A wszystko źle się skończy.

– To koniec, Rafał. – Spojrzała mu w oczy. Wyglądał tak, że miała ochotę przyłgnąć do jego wysportowanego ciała i całować go do utraty tchu. Ale nie mogła. Po prostu nie.

– Co ty mówisz? – Zmrużył oczy.
– Musimy z tym skończyć.
– Dlaczego? – Nie zamierzał odpuścić.
– Bo nie chcę już z tobą sypiać. – Śmiało spojrzała mu w oczy.

– Tylko o to chodziło? O seks?
– A miałaś nadzieję na coś więcej? Przecież ty masz rodzinę! – Pokręciła głową.

– Dobrze wiesz, że nie chodziło tylko o łóżko.
– Nic już nie wiem! – Wyrwała mu rękę.
– Słuchaj, jeśli chciałaś... Jeśli myślałaś, że ja zostawię...
– Przestań! – podniosła głos. – To koniec. Do niczego nas to nie zaprowadzi. Musiałaś o tym wiedzieć od początku. Ja także wiedziałam, ale dopiero teraz zrozumiałam, że muszę zrobić krok dalej. Ciągle tkwiłam w zawieszaniu, nie dam rady tak dłużej funkcjonować. Zrozum to... – Wzięła głęboki oddech. – Spotkaliśmy się nie w tym momencie, co trzeba. Bardzo żałuję, ale taka jest prawda. I nie zmienimy tego. Więc nie możemy iść dalej, nie, źle mówię – potrząsnęła głową – musimy iść dalej, ale osobno. Ty masz swoją rodzinę, a ja chcę odzyskać własne życie. Rozumiesz?

Wpatrywał się w nią bez słowa, widziała emocje malujące się na jego twarzy. Ujmował ją tą chłopcieską połączoną z nieco szorstkim sposobem bycia. Była nim zafascynowana, było jej dobrze w łóżku, ale wiedziała, że to do niczego nie prowadzi. I teraz musiała być twarda.

– Nie rozumiem. Ale nie będę cię już więcej nachodził.

Odrzucił się i poszedł w stronę zaparkowanego nieopodal samochodu.

Karolina, gdy weszła do mieszkania, natychmiast otworzyła czerwone wino. I nie skończyło się na dwóch kieliszkach. Musiała jakoś zalać swój żal i złość na samą siebie. Bo

ciągle i ciągle życie przeciekało jej przez palce. Wymykało się. I co miała w sobie takiego, że przyciągała wyłącznie facetów, którzy w jakiś sposób ją niszczyli i sprawiali, że miała wrażenie, jakby ktoś kierował jej życiem.

W liceum zakochała się bez opamiętania w rok starszym synu dyrektorki. Był jej pierwszym facetem, prawie zawała drugą klasę, bo przez niego nie potrafiła się uczyć. A potem ją zostawił. Bardzo to odchorowała. Podczas studiów przeżyła kilka przelotnych związków, na trzecim roku nawet się zaręczyła. Gdy obronili dyplomy, on stwierdził, że najpierw chce zrobić karierę, ugruntować się zawodowo i teraz nie jest dobry czas na zakładanie rodziny. Zostawił ją. Odchorowała to o wiele lżej, niż przypuszczała. Bardziej chyba szukała w sobie oznak rozpacz, przekonując się, że przecież po raz kolejny została opuszczona przez faceta. Ta jej udawana tragedia była trochę na wyrost, otrząsnęła się w ciągu tygodnia i ruszyła dalej. Praca, studia, szkolenia, resort. To było jej życiem, jej kochankiem, jej samotnymi orgazmami.

A potem... pojawił się Rafał i nienawidziła siebie za to, że dała mu się wciągnąć w ten romans jak z taniego dramatu. To takie oczywiste. Podwładny – szefowa. Może go to kręciło. A ona była wściekła na siebie, że zaczynała coś czuć do tego faceta z filuternymi oczami. Ale musiała to przerwać i pozbierać się. Udawała sama przed sobą, że to nic takiego, że dobrze zrobiła. I jak wcześniej na siłę szukała u siebie symptomów rozpacz, tak teraz chowała je głęboko, grając sama przed sobą, że nic się nie stało. Było, minęło. W samooszukiwaniu była naprawdę niezła.

Oszukiwała się do rana, aż przez zapłakane oczy zobaczyła dno butelki. Potem długo stała pod prysznicem i starała się zmyć z siebie trudy wieczoru, a właściwie nocy. Nie mogła dać po sobie poznać, że coś się z nią działo,

bo przecież była inspektor Linde, twardą i bezkompromisową policjantką, oddaną swojej pracy, wierną ideałom i wciąż ufającą w siłę i niezawisłość wymiaru sprawiedliwości. Powtarzając to jak mantrę, doprowadziła się do jako takiego stanu.

Rankiem stawiała się w firmie odświeżona i zdeterminowana. Tylko zaczerwienione oczy mogły świadczyć o nieprzespanej, a może i przeplakanej nocy. Ale to mógł zauważyć jedynie uważny obserwator.



Jakub czekał na Ankę. Przygotował się, czarna torba stała w rogu, sprawiając, że czuł się rozdarty. Ta torba zmieniła go z doktora Jeckylla w pana Hyde'a. Gdy tylko jej dotknął, miał wrażenie, że przywdziewa maskę i już nie jest Jakubem Rojalskim, a wcześniej Królem, zdolnym fotografem. Czuł, że staje się tym, którego boi się świat, a niektórzy ludzie płacą wielozerowe sumy, aby skorzystać z jego usług.

Kiedys Wolny zapytał go, dlaczego nie wyjedzie gdzieś na ciepłą wyspę, nie skorzysta z kasy, którą ma, i nie zacznie po prostu żyć. Odparł wówczas: „Jak mógłbym żyć, skoro już dawno umarłem?”. Poza tym był Grabarz, wobec którego wciąż miał niespłacony dług wdzięczności. No i nie chciał opuszczać tego miasta, swojego rodzinnego miasta, w którym byli oni. Raz w miesiącu odwiedzał ich i były to chwile, kiedy przeklinał siebie, swoją przeszłość i to, kim się stał, w kogo się zmieniał.

Anka weszła na klatkę schodową i z bijącym sercem zapukała do drzwi sąsiada. Bała się tego spotkania, nie wiedziała, czego może się spodziewać, ale jednocześnie odczuwała podniecenie, nawet radość. Coś się zmieniało,

coś nowego szykowało się w jej życiu, ona się zmieniała. Może jej przyszłość także? Pragnęła tego ponad wszystko, zrobiłaby wiele, aby coś się w końcu stało. Nie chciała już tkwić w tym zawieszeniu, w którym coraz mocniej zaczynała odczuwać brak szacunku do samej siebie. Wiedziała, że aby dokonać tych zmian, musi zacząć od siebie, a siłę czerpała z tych nielicznych spotkań i rzadkich rozmów z małomównym z reguły Jakubem. To on dawał jej tę dziwną moc, którą czerpała z jego zamkniętej postawy, jakby stawał się jej osobistym źródłem energii do walki z całym światem. A przynajmniej z jednym człowiekiem, który właśnie zamykał przed nią ten świat, sprawiał, że czuła się nieważna i zmanipulowana.

Jakub otworzył drzwi i spojrzał na nieco speszoną Ankę.

– Jesteś pewna? – spytał, patrząc na nią twardym wzrokiem.

– Tak.

– Jesteś gotowa?

– Nie wiem, na...

– Jesteś gotowa? – Jego wzrok mógł zamrażać.

– Tak. – Wzięła głęboki wdech i śmiało oddała mu wzrok – jestem gotowa.

– To chodźmy. Przejedziemy się. – Bez wysiłku uniósł torbę wyposażoną w broń: smith&wessonem, glockiem, karabinkiem szturmowym i zestawem noży o różnej długości i przeznaczeniu.

– Gdzie?

– Zobaczysz.

Miał wrażenie, że cofa się o kilkanaście lat. Lecz wówczas to on nie wiedział, gdzie trafi, i z biciem serca ruszał w nieznaną. W oczach Anki dostrzegł podobną mieszaninę strachu, podniecenia i nadziei. Nadziei, że coś się zmieni. O tak. Zmieni się wszystko. Uśmiechnął się pod nosem.

Anna spojrzała na niego i zadrżała. Teraz... widziała Midasa. Od tego widoku zakręciło się jej w głowie, a żołądek ścisnął się w twarde kamień. Lecz usiadła obok niego w samochodzie i zapięła pasy. Jechała na spotkanie przyszłości, chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy. Każdy ma swój własny głąz, który musi wtoczyć na górę, Anka zbliżała się do szczytu. A co potem? To wiedział tylko Midas.



Gdy Kuba wyszedł ze szpitala, czekał na niego człowiek Grabarza. Zawiózł chłopaka do domu, zaopatrzył w witaminy, leki przeciwbólowe, owoce i soki.

- Kuruj się, przyjadę po ciebie za dwa dni.
- Dlaczego to robicie?

Wolny spojrzał na niego i lekko się uśmiechnął.

- Bo masz szczęście.

Jasne, że miał. Doskonale to wiedział. Dostrzegł cel w swoim mało atrakcyjnym życiu. Stawał się sprawniejszy, silniejszy. Uczył się o rzeczach, o jakich jego rówieśnicy mogli tylko śnić. Składał i rozkładał broń w błyskawicznym tempie, uczył się ją smarować, pieścić palcami jak ciało ukochanej kobiety. Gładził opuszkami kolekcję ostrych jak brzytwa noży, którymi raz po raz trafiał do wyznaczonego celu. Z zamkniętymi oczami potrafił z odległości kilkunastu metrów wbić z ogromną siłą nóż w sam środek narysowanej przez Wolnego tarczy. Siłował się na rękę, trenował zapasy, ćwiczył aikido, aby zapanować nad umysłem, i karate kyokushin, aby lepiej kontrolować ciało. Do tego dobrze się uczył. Właściwie w ogóle się nie uczył, bo tak naprawdę wszystko zapamiętywał z lekcji. A zajęcia, nazwijmy je, pozalekcyjne, zajmowały mu mnóstwo czasu. Wracał wieczorami do domu i padał

jak nieżywy na łóżko. Oprócz oczywiście tych dni, kiedy spotykał się z Dagmarą i spędzał z nią najcudowniejsze chwile w życiu.

Naprawdę się zakochał. Sam nie wiedział kiedy, jak, czy w ogóle to możliwe, skoro zawsze był taki zamknięty, wycofany, nieufny. Ale z nią było inaczej. Jej otwartość, szczerłość, poczucie humoru, umiejętność rozbrajania go na każdym niemal kroku sprawiały, że przebywając z nią, czuł się całkiem innym człowiekiem, bez obciążeń rodzinnych i bez podwójnej tożsamości. Był zwyczajnym dziewiętnastolatkiem z planami na przyszłość, marzeniami i chęcią poznawania świata. Nie wiedział jeszcze, że z tym ostatnim nie będzie miał problemu. Nie w przypadku profesji, do której przyuczali go ludzie Grabarza.

Wtedy, gdy wsiadł do czarnego mercedesa, bardzo się bał. Ale było mu obojętne, co się z nim stanie. Przez chwilę chciał poczuć coś innego niż tylko niesmak i pogardę, to było dla niego ważne. A co potem? Co miał do stracenia? Przecież i tak nikt by po nim nie zapłakał. Jednak okazało się, że martwił się zupełnie niepotrzebnie. Wolny, o którym jeszcze wtedy nic nie wiedział, zawiózł go do luksusowej willi pod Wrocławiem. Tam Jakub zjadł ciepły posiłek, wykapał się, przebrał w nowe dżinsy, T-shirt i sportowe buty. Potem chował te ciuchy w domu, żeby ojciec nie zauważył, bo skończyłoby się to inwigilacją, skąd miał kasę, a poza tym te buty można było opylić za flaszkę taniej wody. Kuba wielokrotnie łapał się na tym, że wszystko przeliczał na alkohol, bo ojciec, jeśli nie wygrał jakiejś kasy w karty, krążył po domu jak ćma i szukał rzeczy, które mógł zamienić w melinie przy Pułaskiego na flaszkę sikacza lub wódki, w najlepszym razie. A tutaj... tutaj było inaczej. Jak w bajce albo w amerykańskim serialu „Dynastia”, który

matka oglądała z wypiekami na twarzy. Skórzane sofy, piękne puchate dywany, odtwarzacz stereo, barek z luksusowymi alkoholami.

– Czego ode mnie chcecie?

– Pan Grabarz zainteresował się tobą. Podobno w teście na inteligencję miałeś wynik sto siedemdziesiąt dziewięć.

– A co to ma do rzeczy? – Jakub osłupiał. – Poza tym, skąd o tym wiecie? Zapisalem się do Mensy w pierwszej klasie liceum. Wyniki są tajne.

– Nieistotne... – Wolny machnął ręką. – W każdym razie obserwowaliśmy cię. Wiem, że masz nieciekawą sytuację domową.

– Nie chcę o tym gadać. – Kuba momentalnie się spiął.

– Wiem. I nie o tym chciałem rozmawiać. Mamy dla ciebie propozycję.

– Jeśli jakieś świństwa, to zapomnij!

– Nie unos się. Niby jesteś taki spokojny i wyważony, a jednak gdzieś tam głęboko siedzi diabeł, co? – Wolny uśmiechnął się szeroko. – Grabarz ma oko do takich rzeczy.

– Do jakich?

– Powoli. Do wszystkiego dojdziemy. Wszystko w swoim czasie. Jak ci się tutaj podoba? – Mężczyzna ogarnął spojrzeniem bogato urządzonej salon.

– Fajnie... – Kuba wzruszył ramionami.

– Wiesz, że możesz mieć coś takiego bez mrugnięcia okiem?

– Jasne.

Wolny pochylił się i spojrzał w niebieskie oczy chłopaka.

– Jasne. Uwierz mi.

I teraz, po czterech latach pracy, a właściwie treningu, doskonale wiedział, że Wolny miał rację. Mógł mieć wszystko, czego zapragnął. Tylko za jaką cenę? Tego jeszcze nie wiedział. Jeszcze nie przekroczył granicy. W każdej

chwili mógł się wycofać. Ale czy chciał? Wiedział, jaka jest odpowiedź.

Gdy doszedł do siebie po ataku ludzi Górala, zdawał sobie sprawę, że to się jeszcze nie skończyło. To był dopiero początek, co uświadomił mu Wolny podczas ich kolejnego spotkania.

– Zemsta jest domeną ludzi płytkich. Ale tutaj nie o to chodzi. Ty po prostu musisz ćwiczyć.

– Wiem.

– No. Dlatego ćwicz.

– Okej.

Ćwiczył. I to jak...

Najpierw spotkał się z Kalafiolem, najmłodszym w ekipie Górala. Wpadł na niego nieprzypadkowo, gdy tamten wracał do domu z reklamówką pełną piwa. Jakub siedł spokojnie ze słuchawkami na uszach i słuchał Zeppelinów. Powoli ściągnął słuchawki, schował je do kieszeni, cały czas wpatrując się w naznaczoną dziobami twarz Karola Karskiego, zwanego Kalafiolem.

– Już wyszedłeś, cioto?

– Muszę poćwiczyć. – Kuba zbliżył się, patrząc na niego zimnym wzrokiem. Kalafior poczuł, że coś jest nie tak.

– Co?

– Muszę poćwiczyć. Na tobie, kupo gówna.

Pamiętał tylko swoje mocne ciosy, które miażdżyły ciało chłopaka. Zanim się zorientował, Kalafior leżał na ziemi, mocno krwawiąc z nosa, z przetrąconą szczęką i rozwalonym łukiem brwiowym, z którego krew zalewała mu twarz i mieszała się z wylewającym się z rozbitych butelek piwem.

Kolejnym, który spotkał się z dziką furią Midasa, budzącego się w Jakubie Królu, był Pawełek. Trzeci co do ważności w grupie Górala.

Gdy pewnego deszczowego wieczoru wracał od dziewczyny, w bramie spotkał wysoką postać w kapturze nasuniętym na twarz.

- Coś za jeden, frajerze?
- To nie było mądre – odparł cicho Król.

Pawełek drgnął. Znał ten głos.

- Król, pizdo jedna, co się czaisz?
- Na ciebie, śmieciu. – Spokojnie ściągnął kaptur z głowy, wziął zamach i uderzył czołem w sam środek twarzy zaskoczonego Pawełka. Wyraz zaskoczenia nie schodził z twarzy chłopaka nawet wtedy, gdy leżał w brudnej kałuży i ścisnął złamany nos, chroniąc jednocześnie głowę przed silnymi ciosami „pizdy”.

Dwóch pozostałych członków grupy Górskiego, czyli Szczeneę i Jędrzeja, załatwił jednocześnie. Rozprawił się z nimi w podwórku własnej kamienicy, na oczach zaskoczonych sąsiadów, pryszczatych gówniarzy i własnej matki, która patrzyła na syna zszokowana. Nie chciał robić widowiska, ale akurat napatoczył się na nich, wychodząc z domu.

Od razu zaczęli się do niego przyczepiać.

- Piękny Kubuś, już ta twoja pedalska gęba nie jest taka śliczna.

- Spierdalaj! – Kuba wiedział, że z taką patologią nie ma co inaczej dyskutować.

Szczena zrobił duże oczy, szturchnął Jędrzeja, który zaczął strzelać kostkami dłoni.

- Ty, Jędras, czy ty to słyszysz?
- Piękniś się chyba pomylił.

Kuba nie zastanawiał się długo, zaatakował pierwszy. Mocne uderzenie w szczękę posłało Szczeneę na zakurzony bruk podwórka. Jeśli miał jeszcze jakieś zęby, to właśnie się z nimi pożegnał. Potem błyskawiczny zwrot i mocny

kopniak w klejnoty Jędrzeja. Jeszcze jeden cios w nos trzymającego się za genitalia faceta, potem drugi cios w szczękę bezzębnego już Szczyeny.

– Odpierdolicie się ode mnie. Raz na zawsze. Przekaż Góralowi, że mogę przyjść poćwiczyć i na nim! – Kuba złapał plującego krwią i zębami przerażonego i zszokowanego chłopaka, po czym wyszeptał mu do ucha: – Zrozumiałeś?

Tamten pokiwał głową, krztusząc się i plując.

Król poprawił bluzę, spojrzął na zbiegowisko, złapał wzrok matki, która ruszyła w jego kierunku.

– Zostaw mnie – wyszczał przez zęby i wybiegł z podwórka na ulicę.

Biegł, biegł, aż dotarł do domu Dagmary. Musiał się znaleźć z dala od tego syfu, w którym żył, a Daga była dla niego jedyną spokojną przystanią.

Gdy wbiegł bez chwili wytchnienia na piętro, na którym mieszkali państwo Sokółscy, nie czuł nawet zmęczenia. Nic w sumie nie czuł. Tego uczył go Wolny. Wyzbycia się uczuć, zamknięcia na dobre i złe emocje. Uczył go spokoju.

– Musisz być spokojny. Nieważne, czy właśnie robisz zakupy w sklepie, rozwalasz komuś szczękę, czy celujesz do kogoś z glocka. Musisz być spokojny.

Powtarzał to jak mantrę, jednocześnie przypominając sobie o oddychaniu. Tak jakby z każdym wdechem i wydechem chłopak układał sobie wszelkie złe i dobre myśli w głowie i odnajdywał ten cholerny spokój. Nauczył się doskonale nad sobą panować. I dzisiaj po raz pierwszy miał okazję tego doświadczyć. Sprawdzić. Był zadowolony. Dumny. Stanowił pierdoloną oazę spokoju.

Na szczęście Dagmara była sama. Wpuściła go, radosna i zaskoczona. Oraz zmartwiona.

– Wyszedłeś ze szpitala i nawet się nie odezwałeś!

Nic nie powiedział, tylko złapał ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Zaskoczona, uderzyła o jego klatkę piersiową.

– Dobrze, że jesteś – szepnął i zaczął ją całować. Pocałunek był mocny, gwałtowny, Jakub brał w posiadanie wargi dziewczyny. Chciał jej całej, teraz, tutaj, zawsze. Była jego ukojeniem. Wewnętrzny sposób to tylko ćwiczenie, ona była prawdziwa, realna. Taka cudowna, ciepła i namiętna. Wsunęła dłonie w jego włosy, stanęła na palcach i coraz mocniej oddawała pocałunki.

– Kiedy wracają twoi rodzice? – wydyszał jej w twarz, gdy oderwali się od siebie, obdarzając się gorącymi spojrzeniami.

– Mamy czas... – Pociągnęła go w stronę sypialni.

Nie zastanawiał się, nie analizował. Chciał tylko czuć.

Nie tak to planowałem – pomyślał, gdy zrzucił bluzę i T-shirt. Dagmara z zachwytem spoglądała na jego idealnie wyrzeźbione mięśnie.

– Masz cudne ciało – szepnęła.

– Ty jesteś cudna. A to tylko... ćwiczenia... – Powoli zbliżył się do dziewczyny i ściągnął jej bluzkę, zsunął dresowe spodnie. Została tylko w bieliznie.

– Jezu... – szepnął gardłowo.

– Ja... Wiesz, jestem dziewczyną.

– Domyślałem się.

– Mam to wypisane na twarzy?

– Nie. Ale bardzo mnie to cieszy.

– I nie zabezpieczam się niczym.

– Nie martw się. Zająłem się tym.

Uniosła zaczerwienioną z zażenowania twarz i spojrzała mu w oczy.

– Kiedy to zaplanowałeś? Zawsze masz przy sobie gumki?

- Nie. – Patrzył jej prosto w oczy.
 - To dlaczego...?
 - Od jakiegoś czasu nosiłem się z tą myślą i poczyniłem pewne... zakupy – wyjaśnił i uśmiechnął się lekko.
 - Czemu tak rzadko się uśmiechasz? – Poglądziła go po policzku.
 - Bo nie mam zbyt wielu powodów do radości. Może oprócz tych chwil, kiedy jestem z tobą. – Z jego oczu wyzierał smutek.
 - Gdy ja jestem z tobą, czuję się wyjątkowo. A gdy ciebie nie ma, mam wrażenie, że ktoś nagle zgasił światło. – Powiedziała cicho, tuląc się do niego.
 - Och, Daga... – Westchnął, wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. – Mówisz piękne rzeczy.
 - Bo cię kocham.
 - Daga... – szepnął i zaczął ją mocno całować. Nie przestawał, nie odrywał się od jej miękkich ust, dopóki nie poczuł, że dziewczyna zsuwa bieliznę. Wówczas sam też pozbył się ubrania, założył prezerwatywę i delikatnie wsunął się w gorącą i mokrą kobiecość Dagmary. Mocnym pchnięciem pokonał naturalną barierę i pocałunkiem przechwycił okrzyk, który wydała z siebie dziewczyna. – Też cię kocham – wyszeptał, poruszając się coraz śmielej i mocniej.
 - Więc mów mi to. Potrzebuję tego... – Jej głos przypominał szloch.
 - A ja potrzebuję ciebie. Jezu... Cholernie potrzebuję! – Jego mocne ciało coraz silniej wciskało Dagmarę w materac.
- Ona zaciskała dłonie na jego przedramionach i przygarniała go jeszcze bliżej, jeszcze mocniej. Nie wiedziała, co siedzi w jego głowie, ale pragnęła, aby chociaż na chwilę zapomniał o swoim świecie i był tylko dla niej. Tutaj,

wyłącznie dla niej. Tylko ona i on. Daga i Kuba. Bez tej beznadziei, w której żył. Czy kiedyś będzie w stanie się od tego uwolnić? Czy ona sprawi, że przeszłość stanie się niewidzialna? Czy to możliwe? Ta myśl wycisnęła jej łzy z oczu.

– Wszystko dobrze? – Uniósł się na ramionach i zaniepokojony spojrział na leżącą pod nim dziewczynę. Jej włosy były rozrzucone na poduszce, usta zaczerwienione i spuchnięte od pocałunków, oczy zamglone. Tak wyglądało niebo. Jego niebo. I jego anioł. Odnalazł swojego anioła. Jak w tym kawałku Dżemu „Każdy ma swojego anioła”.

– Tak. Chodź. Chodź. Ja też ciebie potrzebuję. Cholernie potrzebuję! – Przygarnęła go udami, pospieszyła właściwie.

Był w niej, stanowili jedność, to było cudowne, niepowtarzalne, należało tylko do nich. Było takie inne, czyste, coś takiego mu się do tej pory nie zdarzyło. Jego poprzednie akty, tak, akty seksualne, bo tak to właśnie nazywał, były tylko chwilowymi ucieczkami, momentem zapomnienia o syfie, w którym żył on, jego przypadkowe partnerki lub koleżanki jego matki z pierdolonej Trzynastki. A z nią... To był cud, ona była cudem, jego skarbem, jego szansą. Wszystkim. Złapał jej policzki w dłonie i przywarł ustami do rozchylonych warg. Język tańczył w jej słodkich ustach, ciało poruszało się coraz szybciej. Wiedział, że jest już blisko.

Skończył z cichym westchnieniem, potem jeszcze długo leżał w jej objęciach, a Dagmara głaskała go po zwichrzonych włosach, całowała i szeptała słowa, od których kręciło mu się w głowie. On sam nie umiał znaleźć właściwych, aby odpowiedzieć jej tym samym. Nikt nie nauczył go okazywania uczuć, nie znał wyrażeń, którymi mógłby nazwać to, co czuł do dziewczyny, która pokazała mu, co to znaczy kochać. I był jej za to dozgonnie wdzięczny.

Gdy się trochę ogarnęli, Daga spojrzała w jego niebieskie oczy i uśmiechnęła się.

- Marzyłam o tym, abyś był moim pierwszym.
- Marzyłem, aby nim być.
- Naprawdę mnie kochasz?

Utkwił pewne spojrzenie w jej zielonych oczach.

- Jak nikogo w życiu.
- No, to teraz jesteś na mnie skazany.

Uśmiechnął się.

- Cudowna kara. Ale wiesz co?

Oparła głowę na łokciu i spojrzała na niego zaciekawiona.

- Pytam serio, jak dużo mamy czasu?
- Oj, do wieczora. Spokojnie.
- Chciałbym czegoś spróbować... - Pochylił się i liznął jej obnażone piersi.

Zadrzała.

- Czego? - szepnęła, nieco speszona.
- Ciebie...

Na zawsze zapamiętał jej westchnienia i krzyk sygnalizujący nadejście mocnego, druzgocącego wręcz orgazmu.

To były chwile, które na zawsze zostały w jego głowie. A teraz... mieszały się w formie koszmaru z tym, co stało się później.

ROZDZIAŁ 8

Archive „Fuck You”

*Bet you sleep like a child with your thumb in your mouth
I could creep up beside put a gun in your mouth**

* Jestem pewien, że już śpisz i jak dziecko ssiesz kciuk
Mógłbym wtedy zakraść się, wsadzić broń do twych ust

Archive, album „Noise”, 1991 r.

Jakub patrzył na Ankę, która trzymała glocka w dłoniach i ważyła broń z wyrazem strachu i zafascynowania na twarzy.

– Boisz się?

– Ttak – odparła nieco niepewnie, jakby nie wiedziała, czy może się przyznać do słabości.

– I bardzo dobrze. Broń służy do zabijania. Jeśli ktoś ci powie, że do obrony, dla pewności siebie, dla poczucia bezpieczeństwa, nie wierz w to. Pieprzenie. Nic więcej. Broń służy do zabijania. Tylko. Dlatego trzeba się jej bać. Ale można ją też kochać.

– A ty? – Anka spojrzała na niego zafascynowana.

– Ja?

– Boisz się?

– Zawsze. Ale jednocześnie... ona i ja... jesteśmy jak kochankowie. Skazani na siebie.

– Będę dzisiaj strzelała?

Jakub uśmiechnął się kącikiem ust.

– Jak mała dziewczynka. Nie, jeszcze nie. Pokażę ci, jak się rozkłada i składa glocka, sama nauczysz się to robić, a gdy już pistolet będzie przedłużeniem twojej ręki, gdy będziesz znała każdą jego część, gdy z zamkniętymi oczami będziesz umiała rozłożyć i złożyć broń, wówczas... Wówczas zaczniemy mierzyć do celu.

– A te noże?

– Nożami pobawimy się dzisiaj, Aniu... – Uśmiechnęła się, ale ten uśmiech nie dotarł do oczu.

Anka pomyślała, że nie chciałyby mieć Jakuba za wroga. I ucieszyła się, że ten spokojny fotograf z niebieskimi oczami nie trawi jej męża. Doprawdy. Jaki niefort dla tego dupka!

– Dobra. Trzymaj. – Jakub podał jej nóż o krótkim i szerokim ostrzu oraz ciemnoperłowej rękojeści.

– Co mam z tym zrobić?

– Wbić w ten pieniek.

– Rzucić?

– Nie. Złap i z całej siły wbij. Pieniek jest spróchniały, nie zranisz się. Poczuj własną siłę. I sprawdź, czy w ogóle możesz to zrobić. – Midas objął się ramionami, ciemne ray-bany zsunął na tył głowy i wpatrywał się w dziewczynę. Ta wzięła głęboki wdech, mocno złapała prawą dłońią rękojeść noża i kucnęła przy starym pniu drzewa. Zagryzła wargi, przymknęła na chwilę oczy. I uderzyła. Z całej siły. Nóż wbił się w zmurszałe drewno aż po rękojeść. Poczowała się... miło. Dobrze. Uśmiechnęła się i uniosła głowę. Spojrzała na opierającego się o drzewo Jakuba.

– Całkiem fajnie.

– Fajnie, mówisz? – odparł bez uśmiechu. – A gdyby to było ciało człowieka?

– Zależy, jaki byłby to człowiek.

Wpatrywał się w nią przez chwilę. Odbił się od drzewa i sięgnął po swoją czarną torbę. Wyciągnął tablicę z narysowaną tarczą strzelniczą, przymocował ją do szerokiego dębu.

– Okej. To zaczynamy.

– Mam tam trafić?

– Najpierw coś ci pokażę.

Okulary schował do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki, którą zdjął i położył na trawie. Anka wyrwała nóż z pnia i usiadła na pozostałościach drzewa. Midas wyjął zestaw czterech noży o różnej długości. Złapał po dwa do każdej z rąk. Stanął w odległości około dziesięciu metrów od drzewa z tarczą. Wziął głęboki wdech i gdy powoli wypuszczał powietrze, ruszył. Anka miała wrażenie, że ogląda film w przyspieszonym tempie. Ciemna wysoka postać migała jej przed oczami, ostrza błyskały, odbijały słońce przebijające się przez wysokie drzewa. Jakub skoczył w bok, wykonał szybki ruch prawą ręką, ostrze wbiło się z wielką siłą w sam środek tarczy. Potem przewrót i kolejny rzut z wysokości kolan, tym razem lewą ręką. Ostrze zostało precyzyjnie umieszczone tuż obok poprzedniego. Kolejny zwrot i kolejny rzut, prawa dłoń wysłała długi nóż prosto do celu. W finale zatrzymał się około trzech metrów przed drzewem, odwrócił do Anki i patrząc jej prosto w oczy, rzucił nóż za siebie. Ostrze wbiło się idealnie w cel, tuż koło trzech pozostałych noży. Dziewczyna wpatrywała się w to szeroko otwartymi oczami. Nie mogła uwierzyć, że była świadkiem czegoś takiego.

– Nie mogę ci obiecać, że będziesz robiła to samo. Ja trenowałem od piętnastego roku życia. Ale obiecuję ci, że na pewno będziesz potrafiła trafić do wyznaczonego celu. Dzisiaj zaczniemy trening nożami. Gdy to opanujesz, sięgniemy po broń. Oprócz tego musisz ćwiczyć. Siłownia, basen, sparing, boks. Mam halę do ćwiczeń, mogę cię trenować. Pytanie ostatnie: czy jesteś na to gotowa? – Stanął nad nią i patrzył jej prosto w oczy.

Zauważyła, że nawet się nie zmęczył. Poderwała się i stanęła tuż przed nim. Śmiało oddała mu spojrzenie. Miała świadomość, że właśnie zmienia swoje życie. I pragnęła tego z całego serca. Podeszła bliżej. Poczwała zapach

Midasa, piżmowy, ciężki, podniecający. Jednak wiedziała, że ich układ musi pozostać na innym poziomie.

– Jestem. Gotowa – odparła, cedząc słowa.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, potem nagle złapał ją za ramiona i odsunął.

– Też bym tego chciał. Ale jeśli masz być moją uczennicą, to musimy wiedzieć, gdzie są granice.

– Wiem. Jestem gotowa na to poświęcenie.

Lekko zadrgał mu kącik ust.

– Łap! – Rzucił w jej stronę nóż z dłuższą rączką. Złapała, całkiem zgrabnie.

– Uprzedzaj mnie – szepnęła, przestraszona i zaskoczona.

– Nie będę. Musisz być zawsze przygotowana i czujna. A teraz bierzmy się do pracy. – Ustawił ją przed sobą i zaczął tłumaczyć, jak ma się przymierzyć do pierwszego rzutu. Po kilkunastu próbach, kiedy twarz Anki ociekała potem, a oddech Midasa nie przyspieszył nawet o sekundę, udało się dziewczynie jednym silnym rzutem umieścić ostrze w tarczy. Na jej brzegach.

– Jezu... To trudne... – Anna oparła się o drzewo i łapczywie piła wodę, którą podał jej Król.

– Nic nie jest łatwe na początku. Trzeba być zdeterminowanym, nieustępliwym i upierdliwym. Głównie względem siebie.

– Czy mogę cię o coś zapytać?

Kuba spojrzał na nią zmrużonymi oczami.

– Pytać zawsze możesz. A ja nie muszę odpowiadać.

– Te twoje umiejętności... Nadal ci się przydają?

Midas założył okulary i już wiedziała, że niczego się nie dowie.

– Odpoczęłaś?

– Tak.

– Więc bierz się do pracy.

To prawda, słowo nieustępliwość w przypadku tego faceta idealnie go określało, nie był to żaden eufemizm. Był naprawdę upierdliwy, ale doprowadził do tego, że pod koniec dnia Anka trafiała prawie za każdym razem w tarczę i nawet powoli zbliżała się do celu.

– Może byś mnie pochwalił? – spytała, gdy zbierali sprzęt i wracali do samochodu.

– Pochwalę cię, gdy zaliczysz cel.

– Jesteś surowy.

– Jestem realistą. Musisz trafiać w cel. Wszelkie inne pierdoły nie mają sensu. Ty się lepiej zastanów, co powiesz swojemu mężowi.

– Chciałabym doprowadzić do końca to, co zaczęłam.

Wsiedli do samochodu, Jakub odpalił silnik i spojrzął na dziewczynę.

– Gdy będziesz wiedziała, jak się bronić, możesz spróbować uwolnić się od niego.

– Chciałabym dać mu nauczkę.

– Powiedziałem, że mogę ci pomóc.

– Wiem, pamiętam o tym. Muszę to przemyśleć. A o Mariusza się nie martw, coś wykombinuję. Mam teraz cel.

– Pamiętaj, że nie zawsze będę tuż obok – mruknął Król i ruszył leśnym traktem do wyjazdu z lasu.

ROZDZIAŁ 9

Lykke Li „Gunshot”

*And the shot goes through my head and back
Gun shot, I can't take it back
My heart cracked, really loved you bad
Gun shot, I'll never get you back**

* A strzał przechodzi przez moją głowę i z powrotem.
Strzał z broni, nie potrafię tego cofnąć.
Moje serce pękło, naprawdę bardzo cię kochałam.
Strzał z broni, nigdy cię nie odzyskam.

Lykke Li, album „I Never Learn”, 2014 r.

Karolina szykowała się na ślub przyjaciółki, na którym miała być świadkową. Nie do końca pasowała jej teraz ta impreza, miała tyle na głowie. Ale z drugiej strony po pierwsze obiecała już dawno, że stanie u boku długoletniej kumpeli, a po drugie chyba potrzebowała chwili wytchnienia od tych wszystkich spraw, które zalegały w jej głowie i na biurku.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Błada twarz, okolona jasnymi włosami, z równo przyciętą grzywką. Niebieskie oczy, wpadające w intensywną zieleń – spadek po babci. Szczupła umięśniona nieco sylwetka – efekt wieloletnich ćwiczeń. Całkiem niezłe piersi, zgrabne nogi, o tak, przyciągała męskie spojrzenia, na pewno.

Sięgnęła po jeden z nielicznych kobiecych strojów zasilających jej szafę, w której dominowały czarne dżinsy, bluzy z kapturem i T-shirty. Włożyła grafitową sukienkę z ołówkowym dołem i kieszeniami na wysokości bioder. Kreacja z przodu miała mały golfik, z tyłu odkrywała trochę pleców.

Karolina uczesała krótkie włosy, założyła długie kolczyki, na stopy wsunęła wysokie szpilki, ubrała się w skórzany płaszcz, na oczy ciemne ray-bany, była gotowa. Nie rozumiała kobiet, które godzinami pacykowały się przed

lustrem i szykowały twarz do pokazania innym. Sama musnęła nieco policzki pudrem w kulkach, do tego porządnie wytuszowała rzęsy, nałożyła błyszczyk na usta. I voilà. Nie ma co sobie zawracać głowy pierdołami. Poza tym dzisiaj najważniejsza była Iwonka. Świadcowa nie może być ładniejsza od panny młodej, to byłoby ogromne faux pas.

Ślub odbywał się we wrocławskiej katedrze, natomiast wesele w restauracji umiejscowionej w szklanym biurowcu, który należał do ojca panny młodej.

Karolina starała się przeprowadzić wszystko jak najsprawniej. Do pomocy miała brata pana młodego, który także świetnie zarządził w kwestii transportu limuzyną do katedry, załatwił podobno bardzo dobrego fotografa, a poza tym był wesołym młodym facetem, z którym od razu złapała kontakt.

W domu rodziców Iwony panowało istne pandemium. Mama uparła się na ceremoniał błogosławieństwa od rodziców przyszłych małżonków. Iwonka i jej narzeczoney, Karol, zgodzili się na to, chociaż nie należeli do przesadnie wierzących. Robili to tylko dla rodziców, a właściwie dla matki Iwony. Właśnie przyjechał zamówiony fotograf, który miał uwiecznić na zdjęciach wszystko to, co działo się już w domu panny młodej.

– Dzień dobry. Jakub Rojalski.

Karolina usłyszała spokojny, niski, nieco zachrypnięty głos. Odwróciła się i zobaczyła szczupłego, wysokiego mężczyznę, witającego się z młodymi, a potem z Bartkiem, družbą. Po chwili fotograf spojrzał na nią i gdy wyciągnęła do niego dłoń, lekko ją ucisnął.

– Karolina Linde – przedstawiła się i spojrzała w najbardziej niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziała. Ale nie to ją uderzyło. Owszem, ten Rojalski był bardzo przystojny, w taki niezbyt ostentacyjny sposób, miał w sobie

pewną surowość, która sprawiała, że czuło się od razu respekt do tego człowieka. Ale co innego ją poraziło – bezbrzeżny smutek wycierający z czoła jego oczu.

Gdy na nią popatrzył, w jego tęczęwkach coś na moment się zmieniło, ale za chwilę znikło. Puścił jej dłoń, a ona miała wrażenie, że nadal pali ją skóra. Nigdy czegoś takiego nie zaznała, zupełnie nie wiedziała, co się dzieje. Ale już za chwilę rozpoczęło się przedślubne zamieszanie, Jakub doskonale zapanował nad chaosem, odpowiednio poinstruował młodych, rodziców, świadków i rozpoczął swoją pracę, szybko i sprawnie dokumentując najważniejsze chwile w życiu przyszłych małżonków.

Ślub był naprawdę piękny, koleżanki ze szkoły muzycznej, w której uczyła Iwona, przygotowały oprawę muzyczną, katedra tonęła w kwiatkach, gości było prawie trzystu, ksiądz miał klasę i poczucie humoru, co nieczęsto się zdarza. Karolina wzruszyła się, ale szybko pozbierała, bo Iwone nie była teraz potrzebna płacząca świadkowa. Poza tym czuła się tak, jakby cały czas była pod czyjąś obserwacją. Rojalski bezszelestnie poruszał się wśród gości i zrobił całą serię zdjęć. Do niej także podszedł i kilka razy ją sfotografował. Gdy odsuwał aparat od twarzy, popatrzył na nią takim wzrokiem, że miała wrażenie, jakby miały jej spłonąć policzki.

Co się dzieje, do jasnej cholery?

Udała się do łazienki, zmoczyła papierowy ręcznik i dotknęła nim gorącej skóry twarzy.

– Puknij się w głowę – burknęła do swojego odbicia w lustrze. Przez te wypieki chociaż raz nie wyglądała blade. – Ile ty masz lat, inspektor Linde? – Przewróciła oczami i wyszła z łazienki.

Tu wpadła prosto w objęcia fotografa.

– Oj, przepraszam. Idę się przewietrzyć – powiedział i kiwnął głową w stronę tarasu.

Restauracja umiejscowiona była na dwunastym piętrze, z którego rozpościerał się całkiem miły widok na Wrocław.

– Ja też – zdecydowała się w jednej chwili.

Popatrzył na nią przez moment, po czym puścił przodem, otworzył drzwi i podążył za nią. Gdy go mijiała, poczuła zapach jego perfum. Wzięła głęboki wdech, bo zakręciło się jej lekko w głowie. Na coś takiego nie była przygotowana. O nie!

– Jest pani siostrą panny młodej? – spytał uprzejmie, gdy oparli się o barierkę i patrzyli na oświetlone miasto. Wiał lekki wiatr, ale noc była przyjemnie ciepła.

– Jestem Karolina. – Ponownie podała mu rękę.

Uśmiechnął się lekko, ale ten uśmiech nie sięgnął oczu.

– Jakub.

– Wiem, pamiętam. Nie, jestem jej koleżanką, przyjaciółką właściwie. Znamy się jeszcze z czasów szkoły podstawowej.

– A pan drużba to twój chłopak?

Drgnęła. Miała wrażenie, że coś budzi się w jej brzuchu. Poczowała miłe łaskotanie.

– Nie. Nie mam chłopaka – wyduła wargi. Spojrzała na stojącego obok mężczyznę.

Ten nie wpatrywał się już w panoramę miasta, tylko jego intensywny wzrok spoczął na jej ustach. Za chwilę zamknął na moment oczy i odwrócił się w stronę wejścia do restauracji, z której dochodziły dźwięki muzyki, okrzyki gości i śmiech.

– Widziałam, że umiejętnie poskromiłeś zapędy mamy Iwonki i zapanowałeś nad chaosem. – Uśmiechnęła się. – Długo już pracujesz w tym fachu?

– Jakiś czas – odparł cicho, wpatrując się w oszklone ściany lokalu.

– Masz swoje studio fotograficzne?

– Tak, ale głównie pracuję w domu i na zlecenia. Nie ogłaszam się też nigdzie, żyję z poleceń. A ty czym się zajmujesz?

– A jak myślisz? – Miała wszystko gdzieś. Lekki flirt jeszcze nikomu nie zaszkodził. Spojrzała na niego śmiało, on uniósł dłoń i dotknął palcami brody, jakby się nad czymś zastanawiał. Zauważyła, że ma długie i szczupłe palce, ale kostki jakby obite. I umięśnione ramiona. Pan fotograf definitywnie coś ćwiczył.

– Hm. Właśnie się zastanawiam. Nauczycielką raczej nie jesteś.

– Nie – odpowiedziała z uśmiechem. Czuła się tak... swobodnie. Jak nigdy.

– Może jakaś korporacja?

– Można to tak nazwać.

– Masz do czynienia z ludźmi? – Nie spuszczał z niej wzroku. Miał naprawdę niesamowicie niebieskie oczy i gęste czarne rzęsy. Cholera. Był zajebiście przystojny.

Karolina przełknęła ślinę przez wysuszone gardło. Czuła się jak nastolatka, czyli tak, jak nie czuła się nawet w wieku nastu lat. Zawsze uważała, że ma starą duszę. A dzisiaj... Coś się zmieniło.

– O tak. Cały czas.

– Ci ludzie cię wkurzają? Są źli?

– Z reguły.

– Hm... – Objął się ramionami. Śmiałym spojrzeniem ogarnął całą jej sylwetkę. – Wysłana jesteś – mruknął.

Zrobiło się jej gorąco.

– Wiesz, to samo mogę powiedzieć o tobie... – Uniosła brew.

– I spostrzegawcza.

– Na pewno.

– Aha... – przez chwilę się zastanawiał – powiedziałbym, że pracujesz jako oficer operacyjny, ale jesteś na to za ładna.

Poczuła się jak uderzona obuchem.

– Dziękuję za ten niespodziewany komplement. A ty masz chyba szósty zmysł.

– Serio? Chyba pierwszy raz mi się udało. A więc pracujesz w policji. – Patrzył jej w oczy i zobaczyła w nich jakiś dziwny błysk. Jakby radości, strachu i podniecenia. Od jego intensywnego spojrzenia zaschło jej w gardle. Żaden facet nie patrzył na nią w taki sposób. Jakby była... jakimś cholernie smacznym... kąskem. Na samą myśl o tym zacisnęły się w niej wszystkie mięśnie. Kurwa. Chciała tego faceta. Bała się go, w jakiś nieokreślony sposób czuła przed nim strach, ale chciała. I była pewna, że on chce jej. Przynął się bliżej i szepnął:

– To gdzie mieszkasz, pani oficer?

– Chcesz mnie sfotografować? Myślisz, że Iwonka będzie chciała mieć te zdjęcia w swoim ślubnym albumie?

– Myślę, że bardziej podobałyby się jej mężowi. Ale nie dopuszczę do tego. – Stał tak blisko, że czuła jego zniewalający zapach i oddech pachnący kawą i miętową gumą do żucia. Wiedziała, że jest mokra, mięśnie jej podbrzusza zaciskały się miarowo. To było jak odkrycie, jak niespodzianka od losu. Czy coś takiego w ogóle jest możliwe? – Gdzie mieszkasz?

– Na Kozanowie. – Uniosła twarz i śmiało spojrzała mu w oczy. Był od niej wyższy. Teraz widziała, jak jest pięknie zbudowany. Koszulka miała nieco rozpięty kołnierzyk, więc dostrzegła ładnie wyrzeźbione mięśnie obojczyka, jeszcze bardziej poczuła jego piżmowy zapach i miała ochotę przesunąć po jego skórze językiem. Była całkowicie gotowa. Nie, inaczej. Była ugotowana.

Nie przypuszczała, że coś takiego się jej kiedykolwiek przydarzy.

– Odwiozę cię po imprezie. – Patrzył na nią bez uśmiechu. Jakby coś się zmieniło, jakby on był atakującym, a ona ofiarą.

Och, jak bardzo tego pragnęła.

– Dobrze – odparła cicho, odwróciła się i weszła do restauracji. Czuła na sobie jego uporczywy wzrok. Odczuwała go wręcz jak dotyk. Do diabła. Ten facet, jedynie do niej mówiąc, potrafił sprawić, że była podniecona i mokra. Co będzie, gdy jej dotknie?

Obserwował ją. Od pierwszej chwili, gdy tylko spojrzał w jej oczy. Inspektor Karolina Linde. Znał ją. To się nazywa niespodzianka od losu. Od lat prowadziła sprawę Midasa. Ależ oczywiście, że doskonale wiedział, kto się tym zajmuje i na jakim jest etapie. W końcu nie był aż tak bardzo pewny siebie, aby pozwolić sobie na ignorowanie działań policji.

Znał jej życiorys równie dobrze jak swój. Protegowana Jędrzejczyka, młoda, zdolna, zadziorna, świetnie wyszkolona. Nawet mu imponowała, przebiła się w tym męskim bagnie i osiągnęła sukces. Wiedział także, że nie ma własnej rodziny, tylko od czasu do czasu bzyka się ze swoim podwładnym. To akurat nie było zbyt mądre, ale nie zamierzał jej oceniać. Miała swoje potrzeby.

Nie spodziewał się, że kiedykolwiek ją spotka, stanie z nią twarzą w twarz. Chociaż nie, kłamstwo. Liczył się z tym, że kiedyś spojrzy w jej niebieskie oczy, gdy będzie mierzyła do niego z pistoletu. Nie był aż tak wielkim megalomanem, aby zakładać, że taka sytuacja nie może się zdarzyć. Był realistą. I wiedział, że każda historia musi mieć swój koniec. Karma. Jest coś takiego. A on wierzył, że karma to dziwka. Jednak nie przypuszczał, że pieprzony

los weźmie sprawy w swoje ręce. A tym bardziej nie zakładał, że ta kobieta zrobi na nim takie wrażenie.

Jasne, nie był jakimś cholernym pustelnikiem i gdy czuł, że potrzebuje być z kobietą, to po prostu był. Przecież wychował się wśród prostytutek i jedna z nich odpowiadała za jego inicjację seksualną. Tak naprawdę kochał się, ale naprawdę kochał, tylko z jedną dziewczyną. Pozostałe pieprzył. Tak być musiało.

Nie przypuszczał, że jeszcze kiedykolwiek poczuje to dziwne mrowienie budzące się gdzieś w okolicach żołądka i powoli skradające się wyżej. Zapomniał już, że takie uczucia mogą budzić się w człowieku. To było zupełnie nieoczekiwane. A w tym wszystkim niespodzianką było to, jak ona na niego reagowała. Nie był aż tak oderwany od rzeczywistości, aby w prawidłowy sposób nie odczytać jej sygnałów. W końcu całkiem niedawno widział to samo u Anki, która jednak miała inne priorytety i zrozumiała, że jeśli chce osiągnąć to, co zamierzała, to z ich ewentualnego zbliżenia nic nie wyjdzie.

Ale teraz... Karolina Linde. Patrzył na nią, jak tańczyła z drużbą, potem z panem młodym, następnie z jakimś młokosem przyciskającym ją do siebie w sposób, który sprawiał, że w Jakubie budziło się coś mrocznego.

– Co jest, kurwa? – mruknął do siebie i wziął głębszy wdech. Teraz? Właśnie teraz? Serio? Z drugiej strony cieszył się, że to właśnie teraz. I że to właśnie ona. To było nawet... zabawne. Poczul podniecenie i coś na kształt radości. Pewnie tak czuł się jego stary, gdy zasiadał do partyki pokera, tasując lepiące się od brudu karty i popijając tanie wino od starej Kulwiakowej.

Zrobił kolejną serię zdjęć tańczącym parom, niektórzy goście mieli już niezłe w czubie i natarczywie pakowali mu się przed obiektyw, ale umiejętnie omijał te zawiane

i natrętnie obiekty, bo państwo młodzi raczej nie płacili za zdjęcia wujka czy ciotki z głowami w sałatkach.

Podszedł do świeżo upieczonych małżonków, którzy tańczyli w ciasnym uścisku. Zrobił im kilka ujęć, bardzo romantycznych. Potem sfotografował rodziców młodych i odwrócił się w stronę świadkowej, która tańczyła z przytulonym do niej młodym facetem. Spojrzał na nią, wiedział, że cały czas go obserwuje. Zrobił zbliżenie na jej twarz. Miała piękną twarz. Była blada, co ładnie kontrastowało z jej niebieskimi oczami, ich ciemną oprawą i jasnymi włosami. Zrobiłby wiele, aby te blade policzki pokryły się rumieńcem, tak jak to się stało podczas ich rozmowy na tarasie. Migawka klikała, a on fotografował tylko ją. Będzie miał co oglądać podczas samotnych nocy.

Impreza zbliżała się do końca, umówił się z młodymi, że w ciągu tygodnia przygotuje wstępny album i spotka ją się, aby wszystko pokazać i ewentualnie coś zmienić. Poza tym małżonkowie chcieli jeszcze sesję zdjęciową w zamku Grodno, więc mieli ustalić termin wyjazdu do Zagórza Śląskiego. To akurat bardzo Jakuba ucieszyło, bo lubił fotografie w takim właśnie klimacie.

Towarzystwo rozchodziło się, Kuba pożegnał się z rodzicami państwa młodych i z samymi małżonkami. Gdy poskładał swój sprzęt, poczuł, że ktoś za nim stoi. Doskonale wiedział kto.

- Będę mogła dostać od ciebie kilka fotografii?
- Przekażę je Iwonie.
- Ale ja chciałabym dostać je od ciebie... – Przekrzywiła głowę i wpatrywała mu się w oczy.
- Czekam na ciebie na parkingu – mruknął, nie przerywając pakowania sprzętu.

Zrobiła duże oczy. Uśmiechnął się lekko. Wyprostował się i popatrzył na nią z góry.

– Zapomniałaś? Obiecałem, że cię odwiozę. Chyba piłaś, prawda?

– Trochę.

– To czekam. Parking Ac. Czarne volvo.

– Serio?

– Serio.

Jeszcze chwilę na niego patrzyła, po czym uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

– Daj mi chwilę.



Siedział w samochodzie, włączył odtwarzacz mp3. Leciła właśnie piosenka, której tekst był nader adekwatny do tego, co działo się w jego życiu. Albo mogło się dziać. Wokalistka Lykke Li śpiewała o tym, że jej serce pękło, że naprawdę kochała.

Poczuł ukłucie w sercu, co często się zdarzało. Wystarczyła jakaś iskra, piosenka właśnie, film, cytat z książki, aby przed oczami stawały mu obrazy z przeszłości, od których budziło się w nim coś złego, mrocznego. Wziął głęboki wdech i umiejętnie zamknął niebezpieczne myśli w głębi umysłu, jak to zwykle czynił, kiedy chciał oczyścić umysł, żeby myśleć jasno i klarownie. A przy inspektor Linde musiał być czujny, to było jak zamknięcie się w jednej klatce z drapieżnikiem.

Znał jej dokonania, miała na koncie kilka spektakularnych ujęć groźnych morderców, jednego seryjniaka, jednego notorycznego gwałciciela, a także przyczyniła się do rozbicia gangu zajmującego się przerzutami nielegalnych imigrantów. Była bystra, co go bardzo... inspirowało. Ładna, interesująca, namiętna, co umiejętnie skrywała pod maską młodej gniewnej niedostępnej. A to z kolei

go podniecało. Czasami lubił ryzyko, hm... Boże, co on w ogóle myśli... Ryzyko stanowiło jego chleb powszedni.

Ale to było coś innego. Coś zwariowanego. Czuł się jak przed swoją pierwszą akcją. W gardle sucho, serce bije jak szalone, dziko pompując krew do żył. W takich chwilach wiedział, że naprawdę żyje. Że coś jest wart. Że jego istnienie to nie pomyłka, o czym bez przerwy zapewniał go ojciec. A matka usuwała się w cień, patrząc smutno.

W takich chwilach czuł moc, czuł się panem, cholernym Midasem, który każde gówno zmieniał w złoto. I teraz, czekając na policjantkę, która czyhała na niego od lat, poczuł właśnie coś takiego. I było to zajebiste podniecające. Lepsze niż pierdolona gwiazdka. Nie, lepsze niż nowy smith&wesson, z którego pakował metodycznie nabój za nabojem w głowę celu.

Uśmiechnął się do siebie. A potem spowaźniał. Karolina wyszła na parking i rozglądała się w poszukiwaniu jego samochodu. Błysnął światłami, dostrzegła go i z niepewnym uśmiechem pospieszyła w jego stronę. Usiadła od strony pasażera, odwróciła się ku niemu.

– Iwona nie chciała mnie puścić, ale powiedziałam, że mam transport.

– Powiedziałaś, że jedziesz ze mną? – Ruszył w stronę wyjazdu z parkingu podziemnego.

– Nie. A co to ich obchodzi?

– Myślałem, że zapewniłaś sobie polisę ubezpieczeniową.

Oparła się bokiem i spojrzała na niego rozbawiona.

– A co? Jesteś jakimś seryjnym zabójcą?

– Nigdy nie wiadomo. Nie znasz mnie.

– A ty nie znasz mnie.

– A co? Jesteś gwałcicielką?

– Jasne, chciałbyś – roześmiała się.

– Byłoby ciekawie... – Zerknął na nią. Uśmiechnął się. Cholera, czuł się wyśmienicie. Już tak dawno nie odczuwał tej swobody w kontaktach z innymi ludźmi. W kontaktach z kobietami.

– Nie licz na to. – Wydęła wargi, ale oczy jej się śmiały. Była piękna. Bardzo piękna.

– To gdzie na tym Kozanowie mieszkasz?

– Na Dokerskiej.

– Okej.

– A ty gdzie?

– Na Sołtysowicach. – Tam mieszkał oficjalnie. Ale miał także dom przy trasie na Poznań, dom, do którego kiedyś zabrał go Wolny i gdzie przez te wszystkie lata ćwiczył, odpoczywał i przygotowywał się do zadań. Po kilku latach odkupił go od Grabarza i teraz ten dom stanowił jego azyl, a także przerzutowy punkt bezpieczeństwa, w razie gdyby coś nie wyszło. Oprócz tego, że liczył się z tym, że może kiedyś wpaść, nie zamierzał stać i czekać, aż go zamkną albo zabiją. Zawsze miał kilka opcji w odwrocie. Dlatego teraz nie rozumiał swojego postępowania. To tak, jakby dobrowolnie podawał ręce do zakucia w kajdanki. Postanowił tego w tej chwili nie analizować. Było dobrze, inaczej, nie czuł się tak od lat. Dlatego uśmiechnął się i westchnął.

– Wiesz, raczej nie umawiam się z nieznajomymi facekami. – Karolina niespodziewanie się odezwała. – Właściwie w ogóle się nie umawiam.

– Mówisz mi to z jakiegoś szczególnego powodu?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Po prostu to dla mnie coś nowego.

– Yhym.

– Nie jesteś rozmowny.

– Nieszczególnie. Przy tobie i tak dużo słów wypowiedziałem. To te bloki?

– Nie, po drugiej stronie, te niskie.

Zaparkował niedaleko od bramy wejściowej, gdzie mieszkała. Bo przecież doskonale znał jej adres.

– Wpadniesz na wczesną kawę? – spytała nagle nieśmiało. Nie pasowało to do niej.

– Jeszcze za wcześnie na kawę. Ale odprowadzę cię.

Wysiedli i podążyli w stronę bloku.

– Dziękuję – powiedziała cicho. Otworzyła drzwi wejściowe na klatkę schodową.

Jakub przytrzymał bramę i popatrzył. Och, jakże miał wielką ochotę, aby wejść na górę. Lecz to w tej chwili nie był dobry pomysł.

– Daj mi swój numer – powiedział po chwili wahania. Nie mógł nie dostrzec zdziwienia w jej oczach. Wyciągnęła wizytówkę i podała mu.

– A ty dasz mi swój?

– Zadzwońię do ciebie.

– Aha... – Usłyszał zwątpienie w jej głosie.

– Karolina... – Spojrzała mu w oczy. – Zadzwońię.

– Okej.

Minęła go i weszła do środka. Nagle złapał ją za rękę i lekko pociągnął ku sobie.

– Poza tym obiecałem zrobić ci zdjęcia. Pamiętam o tym. – Pochylił się i lekko musnął jej usta swoimi. Odwrócił się i wyszedł na zewnątrz, ale ciągle miał przed oczami jej zaskoczoną twarz. A także błyszczące oczy, w których wiele wyczytał: od zaproszenia po podniecenie i jeszcze coś, co sprawiało, że zdał sobie sprawę, że zaczyna właśnie nową, bardzo, bardzo niebezpieczną rozgrywkę.

Gdy dotarł do domu, zrobił sobie lekkiego drinka. Na ogół nie pił alkoholu, czasami sięgał po drinka lub dwa, ale teraz, nad ranem, po tym wszystkim musiał się napić. Usiadł w swoim ulubionym fotelu i zamknął oczy,

rozkoszując się smakiem whiskey. I gdy tylko to zrobił, przed oczami pojawiły mu się znane obrazy.



Miał dwadzieścia lat. Minęło pięć od chwili, kiedy wsiadł do samochodu Wolnego. Był na studiach prawniczych na wrocławskim uniwerku, chodził też na kursy przygotowujące do egzaminów na psychologię.

– Jesteś bystry, pielęgnuj to – mówił mu Grabarz podczas licznych rozmów, jeszcze na początku, kiedy nie pokazywał mu swojej twarzy.

Przyzwyczał się do tych utajonych spotkań i łapał na tym, że czeka na nie z wielką niecierpliwością. Szkolił się nadal w sztukach walki, w strzelaniu, w rzucaniu nożami, i myślał, że tak już zostanie. Wyprowadził się z domu i wynajął mały pokój na wrocławskim Biskupinie. Dagmara uczyła się w klasie maturalnej, byli parą, kochali się. Sądził, że tak już zostanie na zawsze. Ale wiedział, że to, iż stał się gliną w rękach Grabarza i jego ludzi, do czegoś musiało go doprowadzić. I w pewną wiosenną sobotę, kiedy spotkał się z Wolnym w ich stałym punkcie, czyli w domu przy trasie na Poznań, prawa ręka jego opiekuna przywitała go z poważną miną.

– Stało się coś? – Jakub popatrzył na kumpla z niepokojem.

Wciąż czekał na chwilę, kiedy zobaczy swojego moco-dawcę, bo choć nie widział go jeszcze na oczy, przez te wszystkie lata miał wrażenie, że to on jest jego ojcem, a nie ta zapijaczona menda. Której zresztą już nie było na świecie. Pewnego razu poker poszedł nie tak jak trzeba i pan Król skończył z podciętym gardłem, leżąc na swoim brudnym stole, wśród potłuczonych butelek

i pozlepianych kart. Jak żył, tak i umarł. Brudny, pijany i samotny.

W Jakubie nic nie drgnęło, gdy dowiedział się o śmierci ojca. Matka już wówczas pracowała w Trzynastce za barem i wiedział, że odetchnęła z ulgą. Przynajmniej pieniądze, które zarabiała, mogła przeznaczać na siebie i na opłaty za zapuszczone mieszkanie, a nie na spłaty długów tego meliniarza.

– Mamy dla ciebie zlecenie. – Wolny uważnie popatrzył na Midasa.

Król poczuł zimny dreszcz przebiegający przez całe ciało.

– Zlecenie? W sensie, że... zlecenie?

Wolny uśmiechnął się pod nosem.

– Tak. Zlecenie. Facet ma knajpę w rynku i dwie agencje towarzyskie. Naraził się pewnym panom ze wschodu.

– Mówisz o powiązaniach z Grupą z Centrum? – Kuba znał doskonale wszelkie układy i zależności. Z tego Wolny robił mu „kartkówki”, do znudzenia zarzucając go coraz to nowymi informacjami.

– Tak. Facet chce być niezależny, ale to raczej nie jest wolna inicjatywa, więc albo idzie się z orkiestrą, albo odpada.

– Czyli ma odpaść?

– No a jak? Przyszła już pierwsza rata za ten obiekt.

Tak, w tym fachu były cele, obiekty, pionki, figuranci. Jakub próbował się do tego przyzwyczać.

– Teraz dostaniesz pięć tysięcy, po robocie pięć razy tyle.

– Pięć tysięcy złotych?

– Midas, obudź się. Dolarów. – Wolny westchnął. – To będą w całości twoje pieniądze, oczywiście, jeśli wszystko

* Motyw Grupy z Centrum pojawił się w trylogii „Zakręty losu”.

pójdzie sprawnie. Celem jest niejaki Konrad Szybiński, pseudonim Szklarz, lat trzydzieści sześć. Wszystko masz w teczce. – Podał mu materiał. – Zleceniodawcom zależy na tym, żeby do końca miesiąca sprawa została załatwiona. Masz tam zaznaczone, gdzie obiekt bywa, ile czasu tam spędza, z kim się spotyka. Tym zająłem się ja, ty masz tylko usunąć go z planu.

– Okej.

– Midas. – Wolny spojrzął na Jakuba, który był bardzo spokojny. – Wiem, że się denerwujesz, chociaż nie dajesz tego po sobie poznać. Ale wiem też, że jesteś gotowy.

– Okej.

– Daj znać, kiedy zapoznasz się z tematem i coś zaplanujesz.

– Okej.

Potem, siedząc na łóżku w małym studenckim pokoiku, Jakub czytał te skrawki wiadomości, które składały się na życie pewnego mężczyzny. Człowieka, którego miał zabić.

Nie spał całą noc. Najpierw dokładnie przeczytał wszystko, co znalazł w teczce. Potem przejechał się w okolice Śródmieścia, gdzie mieszkał Szklarz, a także odwiedził kluby figuranta. Miał jasny obraz, widział wszystko tak wyraźnie, jakby ktoś narysował to idealną kreską, w umiejętny sposób pogrubiając niezbędne detale.

Był spokojny, nad wyraz spokojny. Już wiedział, jak i kiedy spotka się ze Szklarzem. Nie denerwował się, nie panikował. Jedyne, co czuł, to ciszę i spokój. Jakby ktoś go zahipnotyzował. Do zadania przygotowywał się trzy tygodnie, w tym czasie tylko raz spotkał się z Dagmarą, tłumacząc się ogromem nauki i pracą nad nowym projektem.

Nie czuł wyrzutów sumienia, nie potępił się za to, że ją okłamuje. Nauczył się oddzielać swoje dwie tożsamości,

dwa życia, dwie profesje. Z nią był Jakubem, zdolnym studentem, pasjonującym się fotografią. A w samotności, albo w otoczeniu ludzi, którzy wyrwali go z brudnej wrocławskiej kamienicy w „trójkącie bermudzkim”, był Midasem. I nie pozwalał tym dwóm osobowościom wzajemnie się przenikać. Tak było wygodniej i bezpieczniej.

Szklarz zupełnie się nie spodziewał, że ten wysoki młokos o łagodnej twarzy i prawie chabrowych oczach może mu coś zrobić. Szybiński trenował w siłowni na Nowym Dworze i tam także odwiedzał swoją kochankę. Wychodził od niej przed północą, spotykali się z reguły w piątek, bo jego żona wówczas wyjeżdżała z dwójką dzieci do matki, do Jeleniej Góry. Nowodworskie osiedle było wielkie, a Jakub wiedział, że tutaj najłatwiej pozostać niezauważonym i anonimowym.

Figurant wyszedł dokładnie o dwudziestą trzecią pięćdziesiąt pięć. Przeszedł przez ulicę i zmierzał do samochodu, który zaparkował na tyłach siłowni. Gdy podszedł bliżej, zobaczył, że w jego czarnej audicy ktoś urwał prawe lustro. Wszedł między samochód a mur, przy którym postawił auto i głośno zaklął.

– Jebane blokery!

Nagle z drugiej strony niemal bezszelestnie nadszedł wysoki chłopak, może dwudziestoletni. Ubrany był w skórzaną kurtkę, spod której wystawała sportowa bluza z kapturem.

– Ej, koleś, widziałeś kogoś może? Zajebali mi lustro! – Szybiński spojrział na spokojną twarz chłopaka. Ten powoli sięgnął do kurtki i wyciągnął czarny pistolet z przykręconym tłumikiem.

– Co jest, kur... – Szklarz chciał sięgnąć po swój pistolet, było ciasno, zahaczył ręką o mur i boleśnie uderzył się w łokieć.

– Jestem Midas. Pozdrowienia od Grupy z Centrum. Do widzenia – powiedział cicho i spokojnie chłopak. Rozległy się trzy ciche stuknięcia. W czole figuranta ziały dwie czarne dziury, a w okolicach klatki piersiowej rozkwitła czerwona plama. Postać w kapturze bezszelstnie przeskoczyła przez mur i zniknęła na pobliskich działkach.

Potem nikt nic nie widział, nie słyszał, jak w tym filmie z lat osiemdziesiątych. Nikt nie dostrzegł też samotnej postaci idącej wolnym krokiem wzdłuż wału przeciwpowodziowego Odry. Nikt nie słyszał szłochu, krzyku, nie zauważył pochylonego mężczyzny, wymiotującego pod szerokim dębem. Nikt nie widział jego roztrzaskanej dłoni, kiedy raz po raz uderzał w gruby konar drzewa. I nikt nie słyszał jego rozpaczliwego krzyku:

– Dlaczego??? Dlaczego ja?!